

Tatry słowackie powitały nas słońcem i kryształowym wręcz powietrzem, które zapewniało możliwość podziwiania odległych szczytów, jeszcze przez większość z nas nie zbadanych aczkolwiek bliskich sercu i planom naszym :)
I tak ta sielanka trwała dni kilka, ujmując rzecz ściśle aż do naszego wyjazdu.
Ciepłko, ciepłko, ciepłko.....i słońeczko non-stop
Niejednemu w drodze na kolejny szczyt przypominały się słowa popularnej, choć śpiewanej rzadko publicznie piosenki turystycznej:

*Góry moje góry,
ja was zrównać każę,
Po jaką cholere
ciągle po was łazę :)*

Dzień pierwszy zaowocował zdobyciem przez większość grupy góry narodowej Słowaków, Krywania. Co prawda z wielkim bólem i żalością zostawiliśmy na rozdrożu padlinkę w postaci drogiego sercom naszym przodownika Łukasza, który srodze zaniemógł, ale pocieszeni zostaliśmy zaraz po zejściu do Trzech Studniczek widząc go w stanie pionowym i przy całkiem zdrowym duchu tudzież ciele :)

Dzień drugi spędziliśmy w parowach i rozpadlinach Słowackiego Raju.
Przyszło nam się zmierzyć z porywistym nurtem Hornadu płynącego wartko pod naszymi stopami oraz z setkami szczebli drabinkowych w Klasztoriskiej Roklinie i Małym Kiselu.
Oczywiście pogoda nas rozpieszczała cały czas – ponad 30 stopni latem, w górach, bez klimy to jest to, co takie tygryski jak my lubią najbardziej ;)

Dzień trzeci nadszedł nadzwyczaj szybko i nieco nieprzypadnie.
Pakując przed piątą rano suchy prowiant do plecaków trzeba było się bardzo skupić, żeby bułki przypadkiem nie pomylić np. z kolejną parą skarpet bądź butów.....wszak zaspany człowiek, a tym bardziej turysta, do rzeczy takich zdolny bywa :)
Godzinę tę nieludzką na pobudkę zaakceptowaliśmy jednak wszyscy I cóż było robić, po dotarciu do Szczyrbskiego Plesa pomaszerowaliśmy karni i zwarci na Rysy. Dopiero tam, podchodząc żmudnie szlakiem w cieniu tatrzańskich olbrzymów doceniliśmy w pełni dobre rady naszego zdrowego i rześkiego już przodownika, który do wczesnej pobudki nas namówił i wyjazd o tak okrutnej porze do skutku doprowadził,
Odpoczywając przy Chacie pod Rysami mieliśmy okazję zaobserwować przez mgnienie oka mglistą sylwetkę pana Andrzeja zbiegającego już ze szczytu.....
A potem i nam dane było wspiąć się na te wyżyny niedościgłe :)

Dzień czwarty przebiegał nam pod znakiem luzu, laby i planowej odbudowy kości i części miękkich. Spacerkiem od browarka do browarka trasa wiodła ze Starego Smokowca przez wszelkie utuliny, chaty i bary na czerwonej ceprostradzie aż do Skalnatego Plesa i Tatrzańskiej Łomnicy. Ponoć w samym centrum Tatrzańskiej Łomnicy widziane było widmo pana Andrzeja pomykające PIESZO ze zbocza Łomnicy w kierunku Matliarów.

Dnia piątego w melancholijnych nieco nastrojach spakowaliśmy nasze lary i penaty do autokaru i wyjechaliśmy ostatni już raz na podbój Tatr Wysokich.
Ostatnia nasza droga wiodła znad Szczyrbskiego Plesa na szczyt Prednego Soliska.
Niektórzy z nas honorowo wmaszerowali na butach do Chaty pod Soliskiem, wyprzedzając nieznacznie oddział wjazdowy :)
Pogoda wytrzymała z nami do samego końca. My z nią też. Czarne chmury nad naszymi głowami zebrały się dopiero przy zejściu do autokaru. I tak wraz z pierwszymi kroplami deszczu opuściliśmy tę cudną krainę obiecując sobie, że wrócimy tam na pewno za jakiś czas :)